

1927

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.  
1/2 " -- 40 "  
1/4 " -- 20 "  
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Bez skrupułów.

138042

Kiedy, prawie dwa lata temu (w maju 1925 r.) sygnalizowaliśmy na łamach naszego pisma sensacyjny projekt, pochodzący, zdaje się z angielskich sfer dyplomatycznych odszkodowania Polski za korytarz kosztem Litwy, wyraziliśmy przypuszczenie, że mimo całej pozornej fantastyczności tej koncepcji, może stać się ona rychło realnym zagadnieniem, skoro pomysł się spopularyzuje i opinia polityczna z nim się oswoi. Od tego czasu wprowadziliśmy projekt nie przybrał kształtów bardziej konkretnych, ale też i nie podzielił losu tylu innych, równie nieprawdopodobnych napozór, kombinacji.

Raz po raz, to tu, to tam, odświeża go w pamięci interesującego się zagadnieniami politycznymi ogółu jakiś publicysta, przeważnie z kół niemieckich lub też zabiegających o interesy Niemiec. Świeżo np. wystąpił z obroną tego projektu na łamach „Neue Freie Presse” głośny propagator Stanów Zjednoczonych Europy hr. Coudenhove — Kalergi. Wspomniał o nim również w swej ostatniej mowie, wygłoszonej w Warszawie minister spraw zagranicznych Zaleski.

Niezależnie od tego, czy projekt ten ze szpałt dzienników przejdzie kiedykolwiek pod obrady polityków odpowiedzialnych, sam fakt tego rodzaju kombinacji, z całym cynizmem roztrząsanych jawnie, przy świetle dziennem, wobec opinii publicznej jest niezmiernie charakterystyczny i musi nasunąć niewesołe refleksje o poziomie etycznym powojennego życia politycznego.

Szumnie proklamowane podczas wojny prawo narodów stanowienia o sobie dziś jest mniej szanowane, niż przed wojną, kiedy za ledwie torowało sobie drogę w świadomości ogółu. Dyplomacja wprowadzając w ciszy gabinetów snuła rozmaite projekty, po-

zbawione wszelkich skrupułów moralnych, ale zawsze się starała upozorować swe egoistyczne cele jakimiś względami wyższej natury, co stanowiło główne zadanie prasy, pozostającej na jej usługach. Dziś nawet publicystyka uważa za zbyt ciche posiłkować się argumentami etycznymi, traktując dziedzinę polityki zewnętrznej i wewnętrznej na równi z giełdą i handlem.

I niech nikt nie mówi, że lepsza jest obecna brutalna szczerość od dawnej obłudności. Cobyśmy powiedzieli, gdyby prasa zaczęła tolerować tak częste dziś wypadki kradzieży, rabunków, defraudacji albo nawet podsycać w społeczeństwie skłonności w tym kierunku, chociaż mało kto się przejmuje naprawdę tyradami umoralniającymi dziennikarzy? Zarówno w stosunkach wewnętrznych jak zewnętrznych muszą obowiązywać normy etyczne przynajmniej formalnie, jeżeli ludzkość nie ma dojść do ostatecznego rozparania. W stosunkach międzynarodowych zamało się przywiązuje wagi do czynnika wychowawczego, jakim jest niewątpliwie słowo publiczne. W tej dziedzinie wolno snuć pomysły najpotworniejsze, które w zastosowaniu do życia wewnątrz państwa spotkałyby się z ogólnym oburzeniem i ściągnęłyby na autorów sankcje karne.

Nacjonalizm jednak rozgrzesza z występnych myśli i czynów, jeżeli są one skierowane przeciwko obcemu narodowi i państwu. Światopogląd nacjonalistyczny bowiem wychodzi z założenia, że dobrem najwyższym jest naród i usprawiedliwia wszelki środek, o ile służy narodowi. Teoria egoizmu narodowego triumfuje obecnie na całej linii i wywiera swój wpływ nawet na te umysły, które w zasadzie odnoszą się do niej negatywnie. Świadomie lub bezwiednie ulegają mu politycy, należący do najrozmaitszych obozów i sterują nawą państwową, zapatrzeni w jeden tylko cel — interes własnego narodu, nie myśląc o dalszych konsekwencjach, o ogólnym upadku moralności. Zwłaszcza małe narody powinny się wy-

strzeżać wstępowania na śliską drogę poczynań nacjonalistycznych. Zlekceważenie przez nie nakazów etycznych i podporządkowanie zasady interesowi może z łatwością zemścić się na nich, bo tam, gdzie decyduje prawo silniejszego, słaby może tylko przegrać i nie ma nic na swą obronę.

Jedynie stojąc twardo na gruncie międzynarodowej sprawiedliwości i poszanowania cudzych praw mogą one walczyć skutecznie z przewrotnością i zachłannością niesumiennych sąsiadów. Wdając się w szacherki dyplomatyczne wytrącają dobrowolnie sobie z ręki oręż, jakim, mimo wszystko, jest wrodzone poczucie słuszności.

Na ogół jest niedoceniany w polityce czynnik moralny. Przywykło się traktować go pogardliwie, jako mało skuteczny. Pochodzi to stąd, że nawet ci, którym najwięcej powinno zależeć na jego działaniu, pod wpływem dominującego nacjonalizmu, gotowi są każdej chwili przejść do porządku dziennego nad etycznymi wymogami dla chwilowych a często bardzo wątpliwych korzyści.

Inaczej by się sprawa przedstawiała, gdyby górowała zasada: *pereat mundus, fiat iustitia*. Małe bezbronne narody przede wszystkim są zainteresowane, by pañowała ona nad umysłami ludzkimi. Nie można bowiem zapoznawać doniosłości w życiu gromadzkim obowiązujących w danej chwili pojęć etycznych. Niewątpliwie większość ludzi kulturalnych nie popełnia wykroczeń przeciw kodeksowi karnemu nie z obawy odpowiedzialności sądowej, lecz z wpojonych głęboko zasad, że czyn kryminalny jest niemoralny. Jeżeli zaś poczucie etyczne może regulować stosunki prywatne między ludźmi, to czemuż rezygnować z góry z jego oddziaływania na stosunki między narodami? Przy odpowiednim wychowaniu, przy odpowiedniej propagandzie prasowej jest to zupełnie możliwe i politykowi, obracającemu się w podobnej, czystej moralnie atmosferze do głowy nawet nie przyjdzie występować z tego rodzaju projektami, jak wynagradzanie silniejszego sąsiada kosztem słabszego.

Niezbędnem jest tylko obalenie barbarzyńskiej zasady, że naród jest dobrem najwyższym, bo oparty na tej podstawie nacjonalizm usprawiedliwia wszelkie gwałty i krzywdy.

W swej ostatniej mowie minister Zaleski kategorycznie i mocno podkreślił niedopuszczalność projektu zamiany korytarza polskiego na Litwę i Kłajpedę. Ale panujący światopogląd nacjonalistyczny zaznaczył się i w tym wypadku. Minister Zaleski odrzucił tę kombinację nie dlatego, że jest ona z gruntu niemoralna, lecz jedynie dlatego, że nie odpowiada żywotnym interesom narodu polskiego.

A gdyby odpowiadała? Interes narodowy wówczas usankcjonowałby nawet pospolity rabunek. Nie może być mowy o stabilizacji stosunków międzynarodowych, dopóki w polityce rządzi wyłącznie zasada egoizmu narodowego.

## Niesłuszne pretensje.

(Dwa głosy polemiczne).

Artykuł p. Bochana p. t. „O mniejszość rosyjską” wywołał nieoczekiwane poruszenie wśród naszych czytelników. Otrzymaliśmy szereg listów i artykułów, z których dwa najbardziej charakterystyczne zamieszczamy poniżej. Wobec pewnego nieporozumienia, wywołanego udzieleniem przez nas gościny wystąpieniu p. Bochana musimy z całym naciskiem jeszcze raz podkreślić, że bynajmniej nie solidaryzujemy się z wywodami publicysty rosyjskiego, co zresztą zostało dostatecznie wyraźnie zaznaczone w przypisku redakcyjnym. Głos p. Bochana potraktowaliśmy jedynie jako wstęp do dyskusji, która istotnie się wywiązała, czego dowodem są poniższe repliki panów B. S. i K. B.

Udzielając z kolei miejsca głosom oponentów p. Bochana, z których jeden wyraża poglądy społeczeństwa białoruskiego, a drugi reprezentuje opinię katolicką—również podkreślamy, że nie są one w zupełności zgodne z naszymi zapatrywaniami. Mamy szereg zastrzeżeń względem obu enuncjacji. Negowanie całkowite przez p. B. S. żywiołu rosyjskiego w naszym kraju (poza czasową emigracją) jest objawem zaślepienia nacjonalistycznego, identyfikującego pochodzenie z poczuciem narodowym. Wychodząc z tego założenia należałoby przyjść do wniosku, że i ludności polskiej (za wyjątkiem licznego obecnie elementu napływowego) również niema w naszym kraju, gdyż i w jej żyłach po większej części płynie czysta krew białoruska lub litewska. Jednakże byłby to tylko pogląd doktrynerski, daleki od rzeczywistości.

Znów p. K. B. patrzy przez zbyt różowe okulary na obecne położenie ludności prawosławnej w państwie polskim, zarazem mylnie oświetlając dawną politykę rosyjską względem katolicyzmu. Katolicyzm bynajmniej pod rządami carów nie był prześladowany, o ile nie był związany z ruchami polityczno-narodowymi. Rodowity Niemiec—katolik np. nie napotykał żadnych przeszkód w swej karierze.

Mimo tych zastrzeżeń sądzimy, że polemika, wywołana przez p. Bochana jest pożyteczna, ponieważ oświetla kwestję z różnych stron i jest poniekąd dowodem jej żywotności. Poprzestając na razie na uwagach powyższych, rezerwujemy sobie obszerniejsze wypowiedzenie się w tej materji—na później.

\* \* \*

W № 22 „Przeгляdu Wileńskiego” z r. ub. został zamieszczony artykuł p. D. Bochana „O mniejszość rosyjską”. Aczkolwiek nie możemy uważać p. Bochana za rdzennego Rosjanina, lecz raczej za zrusyfikowanego Białorusina, to jednak artykuł jego mógłby być wzorem charakterystycznych poczynań Rosjan wszystkich kierunków—od monarchistów do socjalistów włącznie. P. Bochan bowiem zamyka oczy na rzeczywistość i zgina się w kornym ukłonie przed siłą w oczekiwaniu od niej łaski i dobrodziejstw. W artykule wspomnianym chodzi o udowodnienie, że należy uznać Rosjan za mniejszość narodową. Gdzie są ci Rosjanie, których należy uznać za mniejszość? Według p. Bochana Rosjanie ci mieszkają w Polsce i dla tego od polskiej większości domaga się on tego uznania. Gdyby rzeczywiście chodziło o Rosjan zamieszkujących w Polsce, nic by to nas nie obchodziło.

Ale dalej wyraźnie widzimy, że mowa tu o kraju litewsko-białoruskim. Ten kraj tedy nazywa p. Bochan Polską. O Białorusinach i Litwinach wcale nie wspomina, jakgdyby była mowa o Kongresówce lub Małopolsce.

W naszym „kraju zachodnim” (sic!) mają być poczynione ustępstwa na rzecz Rosjan między innymi także dlatego, że za czasów rosyjskich Polacy zajmowali tu nawet wyższe stanowiska.

Nie tylko p. Bochan ignoruje rdzenne masy białoruskie naszego kraju, ale Białorusinów prawosławnych zalicza wprost do Rosjan, mówi bowiem o sprawach cerkwi prawosławnej (autokefalia, unja i t. d.) jako o sprawie wyłącznie rosyjskiej.

Podziwu godna jest taka zachłanność panów „priobsczonnych k ruskoj kulturie”!

Artykuł powyższy jest dobitnym *memento* dla tych wszystkich, którzy myślą, że tendencje rusyfikatorskie względem naszego kraju są nieodwołalnie nie zlikwidowane. Aczkolwiek powodzenie ostateczne tych tendencji jest więcej niż wątpliwe, to jednak musimy się z nimi liczyć dopóki istnieją działacze i publicyści podobni do p. Bochana.

W chwili obecnej w kraju naszym przebywa pewna ilość emigracji rosyjskiej. Co się zaś tyczy ludności miejscowej na ziemiach litewsko-białoruskich, to z twierdzeniem „Przeglądu Wileńskiego” co do drobnego odsetku w niej ludności rosyjskiej zgodzić się nie możemy. Są tylko z pośród inteligencji białoruskiej jednostki zrussyfikowane, uważające siebie za Rosjan, lecz i tych dzieci częstokroć nabierają uświadomienia i stają w szeregach ruchu białoruskiego.

Dlatego pośród ludności miejscowej Rosjan niema i p. Bochan nie jest bynajmniej skromnym chcąc z tej nicości stworzyć mniejszość.

B. S.

\* \* \*

W ostatnim numerze „Przegl. Wil.” z r. ub. p. D. D. Bochan wylewa łzy nad dolą mniejszości rosyjskiej w państwie polskim. Zestawia ich los z losem Polaków przed wojną w granicach imperjum rosyjskiego i twierdzi, że Polacy mieli się bardzo dobrze, że „mimo ucisku i ogólnej antypolskiej polityki b. rządu carskiego, iluż to Polaków zajmowało w Rosji bardzo wybitne posady i stanowiska!... Ilu lekarzy, adwokatów, inżynierów, urzędników i wojskowych pracowało i miało chleb i pełny dostatek!... Nawet w Wilnie mógł stać na czele wojsk całego okręgu wileńskiego Polak — generał Hurczyn!”.

Niedziw, że wobec wysokiego %o analfabetów w Rosji, tam gdzie brakło wykształconych Rosjan, przyjmowano nieraz w głębi Rosji na różne stanowiska wykształconych Polaków, czy raczej należałoby mówić: katolików, bo *nie* do Polaków, lecz do katolików stosowano głównie ucisk i ograniczenia. Polak, który się zaparł wiary katolickiej, przyjmowany był wszędzie, ale katolik, czy on był Polak, czy Litwin, czy też Białorusin, we własnym kraju nigdzie, lub prawie nigdzie, nie był przyjmowany, a często nawet kiedy prosił o jakąś posadę, słyszał „życzliwą” radę: *primitie prawosławije!*

Chyba p. Bochan i dziś w Polsce nie wskaże Rosjanina lekarza, adwokata, inżyniera, któryby nie miał dosyć chleba. Ludzie wolnych profesyj i za rządów carskich mieli się nieźle, choćby byli i Polakami, czy tylko katolikami, ale iluż to ludzi, posiadających śre-

dnie lub niższe wykształcenie poniewierało się bez posad i słyszało stereotypowe: *nie! wakansij*, wówczas kiedy prawosławny, chociażby nie miał żadnych kwalifikacyj, np. jakiś podoficer, zaraz dostawał posadę w policji, w zarządzie kolei Poleskich i t. p.?!

Przecież do policji, nawet na stójkowego, prawie nie przyjmowano katolików, z tak zwanych zaś „okołotocznych” tylko jeden p. Moroz na całe Wilno zajmował posadę, będąc katolikiem. Przecież w Wilnie na stacji kolejowej nie było ani jednego tragarza katolika! Nawet w wojsku katolików nie brano na pisarzy do kancelarji, rzadkim trafem ktoś gdzie się dostał. A na wsi? Na gajowego lasów rządowych także trudno było trafić katolikowi, wszędzie znalazł się kandydat godniejszy: prawosławny, protegowany przez swego duchownego.. Nie znałem u nas ani jednego pisarza gminnego katolika! Nauczycielem w szkole ludowej nie mógł być katolik tam, gdzie choć jedno dziecko było prawosławne!..

A jak jest teraz? Pełno prawosławnych na wszystkich posadach państwowych, gdy tymczasem katolicy pozostają nieraz bez pracy. I to ma stwierdzać według p. Bochana niby polską tezę: *Pierwiej wy gnębiliście nas, teraz przyszła kolej na nas!?* Nie panie Bochan, gdyby katolicy chcieli oddać Rosjanom pięknym za nadobne, to powinni byliby nikomu z nich nie dać nic. Bo nie na własnym terytorjum oni siedzą. Ci, którzy są tu odwiecznymi mieszkańcami, mają tu swoje posiadłości i t. d., nie narzekają na brak chleba, narzeka tylko inteligencja rosyjska, która przed wojną zajmowała właśnie różne „ciepłe” posady w kraju naszym i która nas gnębiła srożej, niż tego wymagały surowe carskie ukazy, a która teraz pozostała u nas, szukając tu zarobku.

Mówiąc o Unji, powiada p. Bochan, że „katolicy nie mogą nie przyjmować tych, kto do nich przychodzi”. Otóż nie, bo owszem, mogą a nawet powinni nie przyjmować tych z przychodzących do nich, którzy, jak p. Bochan pisze, „marzą o kawałku chleba”. Mogą zaś i przyjmą chętnie tych, którzy przekonają się po dojrzałej rozwadze, że Kościół Chrystusowy jest nie w prawosławju, opartem niegdyś o cara i Pobiedonoscewych, a obecnie rozbitem na liczne odłamy, wzajemnie zwalczające się i żrące, ale w katolicyzmie, opartym o skałę Piotrową, której i bramy piekielne nie przemogą. Takich tylko Kościół powinien przyjmować. A prawosławni archiereje czyż nie przyjmują dziś takich, co dla kariery raz już zdradzili prawosławje, jak n. p. o. Szczesnowicza, popa z Podoroska, który oddał cerkiew tameczną (niegdyś unicką) w ręce łacinników, co przecie z prawosławnego punktu widzenia jest winą nie do darowania?! Nieopatrznie przyjęty na Unję, o. Szcz. ją zdradził, a teraz właśnie ponownie przyjęty został do prawosławja! A przyjęcie o. Nąmienki i szeregu innych kapłanów świeckich i zakonnych!

Co do powiedzenia, że w Wilnie do cerkwi unickiej „stokroć więcej uczęszcza łacinnickich katolików, niż prawosławnych”, to powiem otwarcie, że w to nie wierzę. Pewnie, że ten i ów, raz i drugi, przez ciekawość zajrzał do tej cerkwi, ale naogół o katolikach łacinnickich mówić tego nie można. Zbyt wiele jeszcze uprzedzeń jest w tem środowisku do obrządku wschodniego nawet w szacie unickiej, by to, co mówi p. Bochan, mogło być zjawiskiem stałym.

K. B.

## Jeszcze nieco „analizy rzeczywistości”.

... „W żyłach miejscowych Polaków i Białorusinów płynie ta sama krew. Różnica jest tylko w języku: dzisiejsi Polacy—potomkowie Białorusinów, przyjęli język polski, a Białorusini dążą do odrodzenia swej starej sławnej przeszłości”.

(wyjątek z mowy p. Świaniewicza).

Nie zamierzam bynajmniej prowadzić do nie-skończoności dyskusji na temat: „Analiza rzeczywistości”, ale wobec tego, iż w przypisku do tego artykułu (Nr.22 z r. ub.) Redakcja „Przegl. Wil.” powiada, że: jak w wykazaniu nieistnienia nacjonalizmu białoruskiego, tak też w określeniu istoty „tutejszej” ludności — czyli i w jednym i w drugim nie mam słuszności i jestem „w grubym błędzie” i że jakoby „rozumie dobrze moje rozgoryczenie i przeczuloną drażliwość”, czyli tym sposobem anuluje całkiem moją „analizę rzeczywistości”, więc zmuszony jestem zabrać głos jeszcze raz. W paru słowach odpowiedzi pozwolę sobie się przyjrzeć „racji” Redakcji „Przegl. Wil.”, aby ją również zanalizować, kończąc tem dalszą polemikę, która, jak widzę, nie doprowadziłaby do jakiegoś konkretnego porozumienia i rezultatu.

W odpowiedzi swej Redakcja powiada, iż w art. „Teorje i rzeczywistość” nie było mowy o faktach, o życiu realnem, lecz jedynie o poglądach teoretycznych, o aspiracjach i pragnieniach. „Chcieć a móc — są to dwie rzeczy różne”. Tymczasem, czytając artykuł każdy czytelnik Białorusin doskonale odczuwa jego sens i celowość, oraz odrazu zrozumie, iż zarzuty, stawiane Białorusinom, to nie są fantastyczne walki z wiatrakami Don Kiszota, lecz są oparte na gruncie rzeczywistości. Bo chęci, bez absolutnej możliwości urzeczywistnienia — nie istnieją, nie tylko u Białorusinów, ale u każdego trzeźwego człowieka. Czyli, że — jak wykazałem, a z tem i „Przegl. Wil.” się zgodził, „Białorusini istotnie nie mają w swoim ręku żadnych środków do realizacji programu nacjonalistycznego, gdyby go nawet posiadali”. Nie jest więc to żadna fantazja, lub teorja, lecz naga rzeczywistość. A więc potwierdza się, iż Białorusini nawet programu nacjonalistycznego nie posiadają. I zupełnie niema potrzeby udowadniać, że w publicystyce białoruskiej ani razu się nie ozwał głos, nacechowany zachłannością i wyłącznością narodową, bo go wcale nie było jeszcze i niewiadomo czy będzie. Są tylko zawsze głosy obrony przed zachłannością, przed agresją i ofensywą innych narodowości i nacjonalizmów nietylko strony panującej. Obrona i ratunek nie jest nacjonalizmem — jest kwestją istnienia, życia lub śmierci! I dla tego dziwacznie wygląda postawiony mi zarzut, iż „zupełnie niepotrzebnie wyłamywałem drzwi otwarte, rozwodząc się nad uciskiem ludności białoruskiej i oplakaną jej sytuacją”. Więc któż ten ucisk i oplakaną sytuację dla Białorusinów stworzył — czy może Białorusini sami sobie? I tu nawet w tem tchnie jakiś uparty docinek nacjonalistyczny, a więc „djabeł swoje, a pop swoje” — rzeczywistego stanu rzeczy nie bierze się pod uwagę.

A jeżeli Polacy pod panowaniem rosyjskiem lub pruskim, jak zaznacza Redakcja, również ulegali prześladowaniom i represjom i zachowali jednak egoizm narodowy, z którego wyrósł skrajny nacjonalizm, to na to wpłynęły zupełnie inne warunki niż te,

w których pozostają Białorusini. Polacy wtedy nie utracili wielkiej własności ziemskiej, mieli arystokrację, zamożną burżuazję, duchowieństwo i t. d., co wszystko pomogło do wytworzenia egoizmu narodowego. Tymczasem Białorusini pozostali tylko przeważnie jako żywiot wiejski — chłopski bez wielkiego stanu posiadania i zasobów materialnych i w dodatku bez świadomości swej narodowej, zachowując tylko swój język ojczysty bez możliwości wyrobienia go. Więc w jaki sposób Białorusini dzisiejsi, będąc pozbawieni wszystkiego, mogą grozić panującym państwowym nacjonalizmom innych? Absolutnie niczem! Nieposiadając nic, oprócz konieczności obrony w kwestji życia lub śmierci oraz pragnienia odrodzenia swego narodu i języka, jedynie muszą tylko się bronić i bronić na wszystkie strony. Więc jakże śmiesznem jest twierdzenie, że już w dobie dzisiejszej jakiś nacjonalizm białoruski istnieje! To nie są żadne gołosłowne wywody — to jest fakt, rzeczywistość, prawda! I w prasie też niema żadnej agresji białoruskiej, a tylko ratunek, obrona, patriotyzm narodowy i krajowy!

A co do ludności „tutejszej”, to jestem zupełnie trzeźwym i spokojnym analitykiem, znam ją doskonale, jak samego siebie, bo się sam wśród niej urodziłem, wychowałem się, żyłem i dotychczas nawet z nią obcuje, a więc nic się nie mylę i potwierdzam, iż z małemi bardzo wyjątkami jest oportunistyczna, egoistyczna, interesowna i bezideowa! Decydującem jest dla niej prawo silniejszego, interes i kwestja tylko bytu materialnego. No, trudno — każdy żyć chce i musi! Znam ją już dawno i analizuję z trzeźwym i chłodnym rozsądkiem i napróżno mi Redakcja zarzuca rozgoryczenie i przeczuloną drażliwość! Po co mamy powtarzać to, co każdemu wiadomo — jaką to rolę względem niej odegrywał Kościół — katolickość była utożsamiana z polskością tak samo, jak rosyjskość z prawosławiem. Pod wpływem religii i panujących wyznań Białorusini od wieków się wynaradawiali — jedni się polszczyli, drudzy ruszczyli i teraz to samo w dalszym ciągu się dzieje, bo naród białoruski swego wyznania unarodowionego nie miał i nie ma. Przecież Redakcja sama powiada w swym artykule, że „z biegiem czasu pod wpływem dworów, kościoła zaczęła się rozpowszechniać znajomość języka polskiego. Dziś cała ta ludność mówi jakąś specyficzną gwarą polsko-białoruską, ale uważa się za Polaków”. Naturalnie, zapędzony od wieków do jarzma, zbiedzony, wyniszczony chłopski naród białoruski, a nawet i mieszczański, uważający swój stan i język za nędzny, Ignie do języków państwowych, bo któżby nie chciał poprawić swego bytu i losu? I słusznie zaznacza p. Świaniewicz, że w żyłach „tutejszych” miejscowych płynie ta sama krew, bo „tutejsi” Polacy — potomkowie Białorusinów, przyjęli język polski i że różnica zatem jest tylko w języku”. Ale stara jak świat prawda stwierdza, że: „Naród, gdy się wyrzeka swego ojczystego języka, kona i umiera”!

Szwajcarja nie może dla Białorusinów służyć przykładem, bo tam nie grasują tak (jak u nas) nacjonalizmy niemiecki, francuski i włoski. Szwajcarzy się odgradzili od tych państwowych szowinizmów obcych, chociaż zachowali sobie ich mowę. Niech i tutaj u nas zaprzestaną wynaradawiać Białorusinów różnemi sposobami i niech naprzykł. Białorusini mają swoją państwowość i niepodległość jak Szwajcarja, to i Białorusini stworzą Białoruską Szwajcarję! Ba! ale to jest mrzonka, utopja, bo Polacy wogóle wątpić należy, czy zaprzestaną polonizować wszelkiemi

sposobami Białorusinów, bo tak im każe, jak powiadają, racja stanu i ich państwowość. A gdyby Polacy zaprzestali stosować względem Białorusinów asymilację, prześladowania, represje i terror, to o nacjonalizmie białoruskim, gdyby się ujawnił, innaby była wówczas mowa. My sami stanęlibyśmy do bezwzględnej opozycji, do zwalczania tego szkodliwego wogóle dla ludzkości kierunkul Ale nacjonalizmu białoruskiego jeszcze niema i być nie może w dzisiejszym stanie rzeczy. To jest fakt, to jest rzeczywistość jawna i jasna bez wszelkich nawet dowodów!

Przecież wystarczy na zakończenie powołać się na znamienny artykuł w tym samym numerze 22 „Przegl. Wil.” z dn. 25 grudnia 1926 r. pod tyt.: „Religia na usługach polityki”. gdzie w końcu sama już Redakcja „Przegl. Wil.” zaznacza, iż: „wywodom tym nie można zarzucić ani przesady, ani tendencyjności”, w którym jest przytoczone powiedzenie „organu smutnej pamięci twórcy konkordatu pol St. Grabskiego”: że: „Religia ma poważne znaczenie polityczne. Dla państwa, czy dla narodu jest rzeczą mieć jedną religję. Gdy tę religję wyznaje dziś jedno tylko plemię—jest ona narodową, pomaga znacznie do utrzymania spójności narodu i przeciwdziała wpływom zewnętrznym, jakie również pochodzą ze źródeł religijnych”. A więc tą drogą polityka polska stosuje wynarodowienie Białorusinów i innych i stąd my mamy „tutejszą” miejscową ludność — potomków Białorusinów, posiłkującą się gwara „polsko-białoruską”, bo język białoruski ona uważa i dotąd nawet, za chłopski—chamski, a język polski czy rosyjski za pańskie—inteligentne, co daje im ogromną przewagę. Smutne, ale prawdziwe...

Halewicz.

(Przyp. Red.). Posuwamy swą bezstronność do możliwych granic, zamieszczając powyższą replikę p. Halewicza, gdyż nie zawiera ona nowych argumentów, lecz powtarza poprzednie wywody o przewadze kulturalnej, ekonomicznej i państwowej Polaków oraz o sytuacji opłakanej narodu białoruskiego. Na tym punkcie jesteśmy zupełnie zgodni z autorem. Natomiast nasze twierdzenie, że dążności i programy mogą istnieć nawet w warunkach, wykluczających możliwość ich urzeczywistnienia—autor zupełnie zbagatelizował, utrzymując, że żaden *trzeźwy* człowiek takich aspiracji żywić nie może. Otóż to! Cała rzecz w tem, że nacjonałści nie odznaczają się trzeźwością umysłu, a więc i chęci ich nieraz daleko wyprzedzają siły i środki, jakimi rozporządzają.

Podobno, w związku z artykułem, zamieszczonym w jednym z ostatnich numerów „Viln. Aidas”, krytykującym ostro stosunek arcybiskupa wileńskiego do duchowieństwa litewskiego i białoruskiego, miejscowe władze kościelne udzieliły surowego napomnienia przedstawicielom podwładnego kleru litewskiego, zapewne w przypuszczeniu, że pozostają oni w kontakcie z redakcją wspomnianego pisma.

Żalować wypada, że niektórzy dostojnicy kościelni, którzy dziś wykazują tak chwalebny dbałość o utrzymanie duchowieństwa w korbach należnego poszanowania dla autorytetu zwierzchnika archidiecezji, nie odznaczali się taką samą energią w latach ubiegłych, gdy „Dziennik Wileński”, inspirowany, jak wiadomo, przez księży endeków prowadził, nie przebiegając w wyrażeniach, o wiele ostrzejszą kampanję przeciwko biskupowi Matulewiczowi...

## Po odejściu archimandryty Morozowa.

Odszedł... nie pierwszy i *napewno* nie ostatni. Sprawdziły się przypuszczenia, którym nie dawałem wiary. Jakie pobudki nim kierowały? Oddawna slyszalem, tembardziej slyszę teraz zarzut karierowiczostwa, stawiany archimandrycie Morozowowi. Bo ja wiem!... *Czużaja dusza—potiomki*. Zresztą karierowiczostwo, to żaden specyficzny objaw Cerkwi prawosławnej, bo znajdziesz go poddostatkiem, niestety, wśród duchownych wszelkiego wyznania i obrządku, a więc i w Kościele katolickim. Rzecz pewna, cnotą ono nie jest. Ale gdy jedni nadmiernie unikają dostojęństw. inni siłą rzeczy, w takimże właśnie stopniu, ich pragną. Zająć wyższe stanowisko, do którego czuje się człek uzdolnionym, i dokonać na niem coś znacznego, jest więcej ambicją stanowiska niż pychą i karierowiczostwem. Wolę zawsze widzieć zabiegi ambitnych niż kretynów.

Mówiąc tu o świeżym przeciwniku nie chciałoby się iść utartą drogą, po linii najmniejszego oporu, i dopatrywać się tylko najbardziej poziomych pobudek z jego strony. Można genezę odejścia arch. Morozowa przedstawić w ten sposób: przerastając teologicznem wykształceniem o całą głowę swych spółbraci, którzy wślad za nim przeszli w latach ostatnich do Kościoła, arch. Morozow wszedł doń z pewnym już gotowym programem. Należało doń przedewszystkiem zachowanie nazwy *prawosławny* tak dla nowych wyznawców, jak dla obrządku; dalej pewna forma niezależności hierarchicznej, w skromnej nrazie postaci egzarchatu (wikarjatu generalnego) przy arcybiskupie łacińskim. Ile wiem, program ten arch. Morozow szerzył w ciągu tego 11<sup>1/2</sup> roku, jak mógł: na ambonie, w memorjałach, w rozmowach... Nie ukrywał go ani przed bpem Matulewiczem, w którego ręce złożył pierwsze wyznanie wiary, ani w Rzymie, Lwowie, Warszawie (Nuncjusz) i Poznaniu (Prymas). Ze wszystkiego było widać, że przywiązuje doń *największą* wagę... Przyszedł wileński zjazd biskupów i program ten upadł *całkowicie*. Arch. M. od razu stracił zupełnie grunt pod nogami i znalazł się w sytuacji nadwyraz przykrej, i to na dwa fronty: program, który odchodząc od prawosławia rozwijał *przed* *prawosławnymi*, został nieprzyjęty przez Kościół, a to znowu, co otrzymać spodziewał się *od katolików*, jakby przekraczało dziś skalę ich możliwości... Gdy niezadługo po zjeździe mówił o upadku wszystkich swych tez i nadziei, był głęboko a szczerze wzruszony i lzy miał w oczach. Więc przy ocenie stosunku ks. Morozowa do Kościoła po zjeździe listopadowym, trzeba brać pod uwagę ów *error substantialis*, jaki tkwił w osobistej koncepcji ks. M. o sposobie zjednoczenia Kościołów. Wiadomo znowu, że taki błąd unieważnia wszelkie konsensy, fakty, kontrakty, umowy... Dodajmy, że dla pracy unjonistycznej naogół, a ratowania wytworzonej obecnie sytuacji w szczególności, potrzeba tak gorącego miłośnika wschodu, jak wiekopomny biskup Strossmajer lub zmarły przed rokiem *le Cardinal saint Mercier*, a ich akurat za brakło!...

Godna jest bezwarunkowo uwagi, acz niepozbywiona przesady, opinia wodza unjonistów flamandzkich, wypowiedziana w liście do mego znajomego przeszło temu parę miesięcy, po zaznajomieniu się z petycją ks. Morozowa do zjazdu w Wilnie: „Szcz-

gólnie dziękujemy Panu za pismo o. archimandryty Morozowa. My wszyscy tu zupełnie podzielamy jego idee, które są całkowicie podobne do naszych... Są w Polsce ludzie, którzy mają dużo kłopotów i nie mogą zdobyć się na to, by siebie przezwyciężyć i w tych duszach, które zwracają się ku Rzymowi, widzieć lojalnych a szczerych braci, szukających tylko jednego—Boga. *Zupełnie się nie dziwię temu, że liczni z tych przyłączonych znowu wrócili do prawosławia. W tym wypadku było to do przewidzenia.* Również idea podległego arcybiskupowi a rezydującego w Wilnie egzarchy byłaby wyśmienitym środkiem dla ożywienia ruchu unjonistycznego i należytego nim pokierowania. *Śluszną jest myśl nazywać przyjmujących katolicyzm Rosjan prawosławnymi katolikami. My ją przyjęliśmy już od roku.* Życzono przytem arch. Morozowowi, by posiadał wiele cierpliwości wobec niezliczonych uprzedzeń do pracy unjonistycznej z tej i owej strony.

Gdy chrześcijański klucz w zamku furty monasteru św. Ducha, przekraczający ją arch. Morozow, niedawny faworyt endecji, polonizator seminarjum prawosławnego w Wilnie, a rusyfikador naszej Unji, rozpocznie trzeci już rozdział swej działalności kapłańskiej. Dla nikogo nie będzie już on interesujący...

P. Kantryba.

## Piszą do nas.

### Kategoryczne zaprzeczenie.

Od p. Heleny Jeleńskiej, właścicielki Działkowicz otrzymaliśmy w związku z korespondencją, zamieszczoną w № 19 „Przegl. Wil.” z r. ub. „Dziwny misjonarz” następujące sprostowanie.

1) Majątek Działkowicze położony jest nie w Słonińskim, lecz Baranowickim powiecie.

2) Obszar jego wynosi zaledwie 480 dziesięcin w tem 250 dzies. młodego bardzo zniszczonego przez wojnę lasu, reszta stanowi piaszczystą ziemię 4 klasy.

3) Praca członków zgromadzenia św. Michała Archaniola ma obecnie prawie wyłącznie na celu zaspokojenie najpilniejszych potrzeb w zakresie utrzymania i wychowania będących w zakładzie ubogich, opuszczonych chłopców, nauczanie ich żyć uczciwie i pracować na siebie; o żadnej działalności narodowo-politycznej, jak podaje autor korespondencji, mowy niema i być nie może. Owszem nie uprzedzeni oceniają, jak pożyteczną jest podobna instytucja dla okolicy.

4) Błędem jest twierdzenie, że kwestarz działkowicki kwestuje stale wśród mieszkańców Nowej Myszy. Uczynił to raz jeden tylko, na wyraźne żądanie byłego ówczesnego proboszcza, znanego zwolennika narodowego ruchu białoruskiego ks. kanonika Adama Lisowskiego.

5) Biorąc pod uwagę oplakany stan finansowy zakładu, wychowankowie przyjmowani są tylko z pośród najbiedniejszych, ma się rozumieć bezpłatnie. Współczucie, z jakim się spotkali pogorzelnicy z Nowej Myszy, było istotnie wielkie, wszyscy oni dostali nie po dwa kłocę, jak podano w „Przegl. Wil.”, lecz po dwa całe pnie sosnowe budulcu.

6) Na podobnie złośliwy dialog z ową rzekomo skrzywdzoną pogorzelnicy żaden z mieszkańców zakładu, a tem bardziej członków Zgromadzenia nie zdobyłby się nigdy. Żadnego podkreślenia różnic narodowościowych nigdy wobec nikogo nie czyniono.

Tyle zawiera faktycznie wyjaśnienie p. Jeleńskiej. Nie mając możliwości na razie skomunikowania się z naszym korespondentem przygodnym, zamieszczamy powyższe sprostowanie z całą lojalnością, powstrzymując się od wszelkich uwag, w nadziei, że korespondent nasz nie omieszcza nadesłać wyjaśnienia, skąd zaczerpnął swe informacje o zachowaniu się zakonnika z Działkowicz.

## Wciąż aktualna sprawa.

Od czasu głośnych uchwał władz uniwersyteckich w sprawie trupów żydowskich dla prosektorjum sytuacja wytworzona na wydziale lekarskim przez zarządzenia wynikające z powyższych uchwał nie uległa zmianie. W prosektorjum uniwersyteckim przy oddzielnych stołach zdala od swoich kolegów chrześcijańskich pracują stłoczeni licznie przy nielicznych zwłokach żydowskich studenci żydowscy. Władze uniwersyteckie bowiem jako jedyny sposób zaradzenia brakowi trupów dla prosektorjum uznały ten, że zwróciły się do... studentów żydowskich, żeby ci postarali się o większą ilość trupów żydowskich, w przeciwnym razie, to znaczy, jeżeli żydowskich trupów będzie mało lub wcale ich nie będzie, to odpowiednio do tego dopuszczana będzie do pracy w prosektorjum większa lub mniejsza, proporcjonalnie do ilości dostarczonych trupów żydowskich, część studjującej medycynę młodzieży żydowskiej.

Przeszło już sporo tygodni i stan ten trwa, jakby nie pozostawiał nic do życzenia. Bo i jakżeż można twierdzić, że jest inaczej, skoro różne stowarzyszenia lekarskie i żydowskie i ogólne i polskie swoje zdanie pochwalające lub ganiące zarządzenia władz uniwersyteckich wyraziły, każda gazeta na swój sposób wypowiedziała się w tej sprawie, i... już. Aż wstyd pomyśleć, że ci, którzy rozumieją obrzydliwość całej tej „sprawy trupiej” a szczególnie lekarze, poza głośnymi oświadczeniami nie zdobyli się na jakiś krok bardziej konkretny i energiczny!

Jeszcze jedna uwaga nasuwa się w związku z tem, co się w różnych pismach na temat „trupów żydowskich” w ostatnich czasach czytało. Niektóre pisma (nie mówimy oczywiście o antysemitycznych, które rzecz całą po swojemu oświeiliły), nawet demokratyczne i postępowe sprawę tę przedstawiały w ten sposób, że największą przeszkodą do tego, aby znaczniejsza niż dotychczas ilość trupów żydowskich wpływała do prosektorjum, jest zabobon czy wierzenie religijne żydowskie, zabraniające preparować trupy w prosektorjach i czynność tę traktującą jako profanację nieboszczyka. Taki pogląd, jeżeli nie jest objawem świadomej demagogii, wskazuje na nieznaną całkowitą omawianej sprawy. Postaramy się sprawę tę bezstronnie w paru słowach wyjaśnić.

A więc przedewszystkiem zabobon powyższy nie jest tak bezwzględny, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Przed niedawnym czasem rabini londyńscy zapytywani o zdanie w tej sprawie

przez t. zw. „komitet gmin żydowskich” w Anglii odpowiedzieli, że aczkolwiek religja nie pozwala oddawać nieboszczyków do prosektorjum, to jednak, jeżeli obowiązujące w państwie prawo nakłada obowiązek dostarczania trupów do prosektorjum, to jest to całkowicie dopuszczalne. Podobnie jest zresztą i w religji katolickiej, która bezwzględnie nakazuje zmarłych grzebać, a jednak milcząco aprobuje oddawanie trupów do prosektorjum.

Przy bliższem przyjrzeniu się widzimy więc że nie zabobon religijny jest tą przeszkodą. Przeszkoda leży zupełnie w innej dziedzinie i, niestety, jak dotychczas nigdzie nie spotkaliśmy w prasie wyraźnego podkreślenia tych czynników. Rozchodzi się mianowicie o to, że Żydzi stanowią ludność miejską, która w ogólnej statystyce trupów dostarczanych do prosektorjum, nie tylko żydowskich, stanowi znakomitą mniejszość, podczas gdy przeważającą większość stanowią trupy pochodzenia wiejskiego. Dalej należy przypomnieć, że u Żydów bardzo są silne węzły rodzinne, a jeżeli to uwzględnimy i weźmiemy pod uwagę, że wszędzie na świecie do prosektorjum są odsyłane te tylko trupy, po które po odpowiedniem ogłoszeniu o śmierci i upływie pewnego czasu, nie zjawi się żaden krewny ani bliski—to możemy z całą pewnością stwierdzić, że nawet w wypadku najskrupulatniejszego przestrzegania tego, aby wszystkie trupy „bezdolnych” Żydów, szły do prosektorjum, ilość tych trupów będzie jednak zawsze znikomą małą, i nie będzie dostateczną o tyle, aby odpowiedzieć mogła ilości młodzieży żydowskiej studjującej medycynę.

O tem należy zawsze pamiętać, jeżeli się chce zająć w drażliwej sprawie trupiej stanowisko bezstronne, w przeciwnym razie wkracza się na śliskie ścieżki demagogji.

Ego.

## Bibliografja.

X. Dr. Czesław Falkowski, Prof. Uniw. Wileń.  
*Św. Franciszek z Asyżu w 700-ą rocznicę śmierci.*  
(Odbitka z „Kwartalnika Teologicznego Wileńskiego”).  
Wilno. 1926 Str. 56 z 1 ilustr.

Rzecz zrozumiała, że ordynariusz na katedrze historii kościelnej wydziału teologicznego U S B. w Wilnie chciał uczcić nastanie siódmego stulecia od zgonu wielkiego odnowiciela życia religijnego na zachodzie. Przygotowywał się do wypełnienia tego zadania zawczasu i w r. 1925 dłuższy czas spędził pod niebem Italji, by wśród wyborowej literatury franciszkańskiej i w bezpośredniem obcowaniu z przyrodą półwyspu Apenińskiego, wchłonąć i jak najbardziej przyswoić swej twórczej pamięci niezwykle rysy niepospolitego Świętego.

Z tych przygotowań powstało studjum niniejsze, które nie jest życiorysem. Autor trudniejsze postawił sobie zadanie, mianowicie, dać syntetyczny obraz postaci św. Franciszka. I to piętno nosi praca niniejsza od początku do końca. Nie znajdziesz w niej jednego zdania, któreby mogło służyć tylko za ozdobę kwiecistą lub za kładkę, jaką autor przerzuca sobie przechodząc od jednego do drugiego tematu. Zamiast tego wszędzie niezwykła zwartość naracji, skupienie

uwagi na samej postaci Asyżanina, organiczna wprost spoiłość części. Czytelnik wyczuwa, zresztą ze źródeł podawanych co chwila widzi dokładnie, że nieraz napisanie jednego zdania, ustalenie pewnego sądu kosztowało autora sporo pracy, bo wymagało drobiazgowego zestawiania i uzgadniania opinji tych, co w ciągu wieków pisali o Św. Franciszku.

Trzeba być znawcą literatury franciszkańskiej, trzeba z niej mieć coś pod ręką, by w recenzji być też krytykiem. Wolę tedy pozostać recenzentem tylko. Stosunek ks. prof. F. do postaci franciszkowej serdeczny a ciepły, mimo że historyk jest człowiekiem nawskroś nowożytnym i żyje wśród świata, co zbyt daleko odbiegł od hasła św. Franciszka. Trudno pisać o św. Franciszku. Widzimy to na przykładzie protestantów i liberalnych prawosławnych, którzy zwykli nadmiernie rozszerzać i akcentować zdrowy w swej istocie liberalizm ewangeliczny, nadając mu kontury zgoła już nieokreślone. (Por. E. Pimienowa, *Francisk Assizskij*. Petersburg 1896).

Miłośnicy literatury franciszkańskiej przyjmą to studjum z prawdziwą wdzięcznością, wszyscy — z uznaniem.

W. T.

Józef Jodkowski. *Cechy Grodzieńskie w wiekach dawnych*. Grodno 1926. Str. 38.

Po kilkudziesięciu latach letargu ożyły u nas znowu cechy, instytucje sędziwe, bo sięgające swymi początkami średniowiecza, a i zasłużone, bo z powodzeniem w swoim czasie zastępujące rozpowszechnione obecnie związki zawodowe. Łącznie z odrodzeniem cechów powstaje też historyczna literatura cechowa.

Wiadomości o cechach grodzieńskich w wiekach dawnych zebrał tu znany już czytelnikom działu bibliograficznego w „Prz. Wil.” p. Józef Jodkowski. Miłośnik przeszłości grodzieńskiej chciał poświęcić cechom tamecznym większą pracę (bo materiału ma dwakroć więcej niż podał w broszurze) i z ilustracjami (jest jednocześnie zwołanym fotografem), ale fatalny brak środków i częste ostatnio choroby zredukowały zamiar pierwotny do mniejszych rozmiarów.

Wyszła jednak wartościowa broszura, umożliwiająca orientację w przeszłości cechowej m. Grodna, które liczyło tych wpływowych organizacyj conajmniej 14.

Gardiner.

## List do Redakcji.

Szanowna Redakcjo.

W numerze „Przeglądu Katolickiego” z dn. 26 kwietnia 1923 r. na stronie 262 wydrukowany był artykuł ks. Ignacego Charszewskiego p. t. Z Czerwonego Piotrogradu, zawierający wiadomości z życia kościelnego nad Nową, podane przez ks. kan. dr. Michała Rutkowskiego.

Niestety, artykuł wzmiankowany całkiem apodyktycznie rzucał cień na cały kler obrządku słowiańsko-katolickiego w Piotrogradzie i odznaczał się dużym brakiem dlań życzliwości braterskiej, Ks. Rutkowski nie oszczędził w nim nikogo, począwszy od egzarchy Leonidasa Fiodorowa, cieszącego się ogólnem poważaniem tak w Rosji, jak i w całym świecie katolickim i do dziś dnia więzionego w kazamatach bolszewickich, a kończąc na zwykłym szeregowcu tego kleru, jak ni-



żej podpisany. To też skoro tylko ów numer „Prz. Kat.” z oskarżeniami głośnemi trafił do rąk moich, natychmiast całą sprawę obrony dobrej sławy kl. ru. słow.-kat. w Piotrogradzie złożyłem w ręce o. Fbrikosowa, delegata egzarchy w Rzymie.

Teraz, gdy się dowiedziałem, że ks. Rutkowski wrócił do Wilna, chcę wobec publicznego oskarżenia publicznie też mu przypomnieć, że nie wśród kleru słow.-kat. w Riazaniu i Piotrogradzie byli jego wrogowie i oskarżyciele, lecz właśnie wśród najbliższych jego znajomych i nawet byłych przyjaciół. Po wydobyciu z archiwów carskich przez ks. kan. Maciejewicza po rewolucji dokumentów stwierdzających nasze alibi w sprawie ks. Rutkowskiego, sama logika, zdawałoby się, winna byłaby nakazać jemu cofnięcie rzuconych oskarżeń.

*Contra factum nullum argumentum.*

Z rzetelnym szacunkiem

O. Trofim Siemiacki.

Skalka. Mn szek pod Brdy.  
Czechosłowacja.

## Zjazd nauczycielstwa litewskiego.

W dniu 30 i 31 grudnia r. ub. odbył się w Wilnie walny zjazd związku nauczycielstwa litewskiego. Zjazd zgromadził znaczną ilość uczestników i miał b. ożywiony przebieg. Wygłoszono kilka referatów i wysłuchano szeregu sprawozdań. W końcu zjazd uchwalił dwie rezolucje.

W pierwszej rezolucji postanowiono domagać się: 1) aby egzystencja szkół i nauczycieli litewskich była zapewniona, to znaczy, aby koncesje na zakładanie szkół dawane były nie na przeciąg jednego roku, a na czas nieokreślony, i aby lojalność nauczycieli wobec władz ustalana była nie na podstawie opinii poszczególnych urzędników politycznych, a na podstawie wyroków sądu, 2) aby sprawa kwalifikacji nauczycieli litewskich była rozstrzygnięta przychylnie, ze względu na obecny stan szkolnictwa litewskiego, to jest, aby wszystkim maturzystom seminarjum litewskiego przyznane były pełne kwalifikacje oraz, aby wszystkim innym umożliwiono uzyskanie tych kwalifikacji nie porzucając stanowiska nauczycieli i 3) aby władze administracyjne nie wyznaczały kar dla rodziców, którzy posyłają swe dzieci nie do polskich, lecz do litewskich szkół.

Druga rezolucja w skróceniu brzmi, jak następuje: zjazd postanawia: 1) nawlewać nauczycieli do szerzenia oświaty wśród dorosłych: a) przez zakładanie wieczorowych i świątecznych kursów dla dorosłych przy szkołach, b) przez zakładanie czytelni, c) przez organizowanie odczytów publicznych, urządzanie wieczorków z przedstawieniami teatralnemi i deklamacją, 2) zakładać, gdzie można, domy ludowe i uczestniczyć w organizowaniu i dalszej pracy różnych towarzystw, 3) zbierać materiał ludoznawczy, zabońony, zagadki, podania ludowe, bajki, piosenki i t. d., 4) zbierać dane o nadużyciach i prześladowaniach i podawać je do wiadomości publicznej, 5) szerzyć świadomość wśród ludności w celu zapobieżenia różnym wypadkom i nieszczęściom.

Obie rezolucje były przyjęte przez uczestników zjazdu jednogłośnie.

## KRONIKA.

**Ustąpienie rektora.** Jak donosi „Słowo” rektor Uniwersytetu wileńskiego prof. M. Zdziechowski zgłosił rezygnację z zajmowanego stanowiska. Dla U. S. B. będzie to wielka strata. Chociaż głęboko się różni z prof. Zdziechowskim w poglądach politycznych, cenimy bardzo jego niepospolitą umysł i prostolinijny charakter. Nie łatwo będzie znaleźć uniwersytetowi zastępcę o równie wybitnej indywidualności.

**Charakterystyczna nominacja.** Wśród kilku nowo mianowanych kanoników kapituły wileńskiej znajdujemy również nazwisko ks. senatora Maciejewicza. Jest to nominacja o wyraźnym charakterze politycznym, gdyż o ile głośną jest działalność nowego kanonika na polu politycznym, o tyle ciche są jego zasługi jako kapłana. A może to odznaczenie spotkało ks. Maciejewicza za przykładne zachowanie się względem byłego jego zwierzchnika?

**Biskup bez stanowiska.** Korespondent „Kurjera Północnego” ubolewa nad losem biskupa Bandurskiego, któremu na N. Rok Izba Skarbowa wypłaciła gażę na styczeń 26 zł. 71 gr., tak bowiem wypadło ze skomplikowanej rachunkowości Izby. Istotnie emerytura niezbyt hojna, tembardziej gdy biskupowi — jak pisze korespondent — należy się wynagrodzenie za zasługi, położone przez niego około przyłączenia Wilna do Polski. Ale może biskup Bandurski w innym miejscu znalazłby lepsze warunki egzystencji, no i szersze pole dla swej działalności patriotycznej?

**Nie do wiary.** „Nasza Sprawa” donosi, że podczas Świąt Bożego Narodzenia dokonano rewizji w księgarni Biały T-wa Wydawniczej, przy czem skonfiskowano mapę Białorusi, utwór dramatyczny Alechnowicza p. t. „Kaliś” oraz utwór dramatyczny Hareckiego p. t. „Muterka”. Wszystkie te trzy wydawnictwa przeszły przez cenzurę polską i bez żadnych przeszkód były sprzedawane w ciągu ostatnich kilku lat. Dramat „Kaliś” nawet za pozwoleniem władz niejednokrotnie był wystawiany na scenie. Na jakiej więc podstawie zarządzono konfiskatę? Gazeta przypuszcza, że jest to zapoczątkowanie akcji, skierowanej przeciwko książce białoruskiej wogóle. Nie chce się temu wierzyć.

**Przyjazd rzeczoznawcy.** W pierwszych dniach stycznia bawił w Wilnie minister L. Wasilewski, członek komitetu rzeczoznawców do spraw kresowych i mniejszości narodowych. P. Wasilewski odwiedził naszą redakcję i odbył szereg konferencji z działaczami miejscowymi wszelkich narodowości.

## Od Administracji.

*Usilnie prosimy szanownych naszych prenumeratorów o niezwleknięcie z nadsyłaniem przedpłaty na rok bieżący.*

*Dłuższe opóźnianie prenumeraty stawia wydawnictwo w trudnem położeniu.*

**Treść numeru:** Bez skrupułów. — Niesłuszne pretensje. — *Halewicz.* Jeszcze nieco analizy krytycznej. — *P. Kantryba.* Po odejściu archimandryty Morozowa. — Kategorie zaprzeczenia. — *Ego.* Wciąż aktualna sprawa. — List do redakcji. — Bibliografia. — Zjazd nauczycieli Litwinów. — Kronika.